

El señor lobo. Józef Łobodowski (1909-1987).

Florian Śmieja



Józef
Łobodowski
1938, fot.
Narodowe
Archiwum

Cyfrowe, za
wikipedia.

Józef Łobodowski objawił mi się w aurze podwójnie egzotycznej: jako mistrz błyskotliwego słowa poetyckiego i jako mieszkaniec pociągającej Hiszpanii. Jego utwory czytałem w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”, zazdroszcząc zadziwiającej płodności pióra i czując wobec niej pewną rezerwę, bo hołdowałem raczej skromniejszemu modelowi, bardziej lakonicznej wypowiedzi, wołałem oszczędność słowa. To, co nas wiązało i różniło, to Hiszpania.

Mimo bolesnych doświadczeń więzienia w Figueras, Łobodowski czuł się w obowiązku zażarcie bronić Hiszpanii frankistowskiej, uważając, że każda krytyka godziła w niego osobiście, że krytykowanie równało się wrogiej ingerencji. Inkursje Jana Winczakiewicza i moje w sprawy hiszpańskie uważał za niedopuszczalne i poczuwał się natychmiast do obrony przybranej ojczyzny. Utrzymywał ponadto, że mieszkając w Hiszpanii posiadał lepszą od innych znajomość literatury hiszpańskiej. Istotnie, literaturą tą się zajmował, a nawet pasjonował. Była to jednak miłość entuzjasty, który brzydził się szkolarskim ślęczeniem nad książkami. Pożerał teksty i brał z nich to, co mu się podobało. Pisał o tej literaturze, tłumaczył ją,

w niej znajdował inspirację. Nie dla niego było zagłądanie do słownika. Język, którego zaczął się uczyć w więzieniu w Figueras, hartował w codziennym obcowaniu z Hiszpanami wszelkiego autoramentu, doskonalił w żywych kontaktach ludzkich, najchętniej w uroczych barach madryckich, gdzie przy winie bez końca toczą się namiętne rozmowy. Nieraz mu w tych miejscach towarzyszyłem, nie nadążając w poczęstunkach – po kilku koniakach i kawach pasowałem. Pamiętam, jak niekiedy musieliśmy się przenosić z jednego lokalu do drugiego, w miarę jak się robiło późno i bary zamykały się nad ranem. Lobo, jak go zwykle tam nazywano (lobo to po hiszpańsku wilk) znał klientów, pociągając fajkę wykrzykiwał na prawo i lewo swoim stentorowym głosem i twardą wymową cięte dowcipy i komentarze, ciesząc się z żywej reakcji obecnych.

We mnie spotkał jednego z intruzów w prywatnym rewirze, gdzie pragnął rządzić jak gospodarz z portretu, który wisiał w jego pokoju. W rękę dzierżył buławę hetmana polskich poetów Ukrainy. Tolerował mnie, bo odwiedzałem go w Madrycie regularnie i nie zgłaszałem sprzeciwu, gdy utrzymywał, że tak jak jego przyjaciel najlepiej władał językiem hiszpańskim wśród Polaków, tak on był wśród nich największym znawcą hiszpańskiej literatury. Nauczony w Anglii kultywowania powściągliwości, nie protestowałem, dzięki czemu mogłem z Łobodowskim chodzić po Madrycie, a nawet zagłądać do *Radio Nacional*, w którym miał swoje pogadanki skierowane do Polski. Któregoś nawet roku

przespałem dziesięć nocy na podłodze w mieszkaniu jego przyjaciół pod nieobecność gospodarzy, w zamian za kilka garnców czerwonego wina. Łobodowskiemu lekarze dawali kiedyś pół roku życia, jeżeli nie przestanie pić. Poeta okazał się twardym pacjentem: operację przeżył, wina się nie wyrzekł, a pożył jeszcze dwadzieścia kilka lat.



Hiszpania, fot.
pinterest

Z racji moich zainteresowań hispanistycznych skrzyżowałem z

Łobodowski szpadę kilka razy. Był on żywiołem rzuconym przez los do kongenialnego kraju. Jego bujna kresowa wena poetycka, jego temperament znalazły świetną pożywkę w orientalnych elementach poezji hiszpańskiej. Pobudliwość, łatwość słowa i stepowa pamięć poety umiały transponować hiszpańskie teksty, poszerzać je i naśladować. Tą kolorową, pociągającą espanioladą potrafił czytelnika polskiego zafascynować. Przykładanie do tych utworów miar filologicznych mija się z celem. I trudno mieć pretensje o wierność przekładu tam, gdzie mamy do czynienia raczej ze swobodną przeróbką i obracaniem się w kręgu motywów i metafor zapożyczonych, z imitacjami, z różnego rodzaju pokrewnymi konstrukcjami. Można wieść spór o to, że liryki te odbiegały daleko i nie reprezentowały źródeł inspiracji czy nawet sprzeniewierzały się ich duchowi, że, tak jak to było na przykład w jego gazelach i kasydach, zatracaly filigranowość, dyskrecję, delikatność i powściągliwość, cechy oryginalnych liryków, a stały się nieraz nazbyt hałaśliwe, przerysowane, nawet rubaszne.

Łobodowski strofowany za nonszalancję zwykł był odpowiadać, że obok skrupulatności praca tłumacza wymaga również ryzyka. Tego ostatniego nie dostrzegał w moich przekładach. Poddając w artykule „Dzieje andaluzyjskiego osiołka” moją polską wersję prozy poetyckiej Juana Ramona Jimeneza „Platero y yo” drobiazgowej, surowej, ale nie niesprawiedliwej krytyce zdobył się na to, by napisać, że

Śmieja wyszedł z ciężkiej potrzeby ze zdrowiem, aczkolwiek przegrał niejedną potyczkę. ("Wiadomości", 19. 11. 1961).

Dobrych, opublikowanych przekładów poezji hiszpańskiej ciągle jeszcze nie mamy zbyt wiele. Łobodowski latami zapowiadał antologię, ogłosił nawet przedpłatę na tom „Droga do Tobozo”, ale nie doczekaliśmy się jej publikacji. Drukując w roku 1975 w „Wiadomościach” artykuł „Szlak Don Kichota”, w którym opisał m.in. pieszą wędrówkę z domniemanej miejscowości narodzin Don Kichota Argamasilla de Alba do gór Sierra Morena, Łobodowski dodał:

Powyższy tekst jest fragmentem większej całości, stanowiącej pierwszą część tomu „Droga do Tobozo”.

Książka miała liczyć 450 stron. Do jej drugiej części przeznaczał „Pieśni galickie” ogłoszone na łamach tegoż tygodnika trzy lata później. Jeszcze w ostatnim numerze „Wiadomości” (3/1816, marzec/kwiecień 1981) Łobodowski tłumaczył:

Mój plan wydawniczy uległ poważnej modyfikacji, na czym najbardziej ucierpiała właśnie „Droga do Tobozo”. Zanim dojdzie do jej uwolnienia z drukarskiego aresztu, wyjdą

przynajmniej dwie inne książki poetyckie, znacznie mniejsze rozmiarami: tomik wierszy politycznych pt. „Dytyramby nieprzejednane” oraz także drukowane częściowo w „Wiadomościach” wiersze śródziemnomorskie, pt. „Mare nostrum”. Zaś prenumerujący, którzy wpłacili przedpłatę za „Drogę do Toboso” zyskają na zwłoce: książka ulegnie znacznemu rozszerzeniu.

Wypowiedź sugerowała, że istniały już zasadnicze zręby antologii mogące jeszcze liczyć na wzbogacenie. W innym numerze „Wiadomości” pisząc o poecie nikaraguańskim Rubenie Darío napomknął:

To dlatego włączyłem przekłady jego wierszy do części antologicznej wciąż jeszcze nie wydanej „Drogi do Tobozo”,

a w nocie do artykułu tłumaczył:

Poród jest bardzo długi i trudny, ale mimo wszystko dziecko urodzi się żywe, a nawet dobrze podrośnięte.

Mimo tych wszystkich zapewnień teraz już wiemy, że trzeba nam się kontentować ułomkami w postaci fragmentów „Srebronia”,

części „Krwawych godów” i pojedynczych wierszy drukowanych w prasie i w czasopiśmie. Jego polityczna postawa uniemożliwiła druk jego przekładów w kraju, gdzie takie sprawy leżały nieraz w gestii osób nieliberalnych i do tego zawistnych. Janusza Strasburgera nie stać było nawet na gest, by wymienić wśród tłumaczy Jimeneza na język polski Łobodowskiego choćby z nazwiska, kiedy w Hiszpanii ogłosił komunikat naukowy o przekładach „Srebronia” i zbył go wzmianką o „ludziach, którzy przebywają poza Polską”.

Tymon Terlecki przemawiając w Chicago w 1977 roku na wieczorze poetyckim Łobodowskiego powiedział m.in.

W historii polsko-hiszpańskich związków kulturalnych Łobodowski ma ważne miejsce. Nikt przed nim tak szeroko nie otworzył polszczyźnie Hiszpanii poetyckiej, nie sięgnął tak głęboko do skarbcza jej liryki. (...) Ten dorobek, akt poetyckiego zaboru i przyswojenia na własność podsumuje wielka, 500 stronicowa antologia „Droga do Tobozo”, znajduje się w druku.

Istotnie, gdyby Łobodowski posiadał większą dyscyplinę pracy, mógł być się stać niedościgłym tłumaczem hiszpańskiej literatury, głównie poezji. Był w stanie stworzyć natchnioną antologię najcelniejszych utworów poetyckich mowy kastylijskiej.

Brakowało mu materialnego zaplecza, zabezpieczonego bytu, pomocy edytora czy chociażby sekretarki. Tak jak wielu emigracyjnych pisarzy roztrwoniał czas borykając się z ciężką dolą pisarza za granicą pozbawionego środków utrzymania i niezbędnych pomocy dla usprawnienia, a choćby tylko utrzymania, warsztatu pisarskiego.



Hiszpania, fot. pinterest

W ostatnim liście Łobodowski pytał mnie, kiedy znowu pokażę

się w Madrycie, bo tymczasem z nie tak odległej Anglii przeniosłem się do dalekiej Kanady. Niestety, umarł trzy tygodnie przed moim kolejnym pojawieniem się na ziemi hiszpańskiej. Na wieść o jego śmierci zrezygnowałem z odwiedzenia Madrytu. Bez señora Lobo wydał mi się nagle zupełnie nieatrakcyjny.

Zob. też

<http://www.cultureave.com/wscho-d-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/>